



Konferencja 5/25

Horyzont nadziei

1Tes 4,13–5,11

W naszych dotychczasowych rozważaniach nad Pierwszym Listem do Tesaloniczan przeszliśmy przez fundamentalne etapy życia chrześcijańskiego: od spojrzenia na naszą dotychczasową drogę wiary, poprzez odkrywanie sensu służby i odważne planowanie duchowej przyszłości, aż po wezwanie do uświęcenia w codzienności i „obfitowania” w miłości. Wszystkie te tematy – nasze zmagania, praca nad sobą i relacje – nabierają jednak pełnego sensu dopiero wtedy, gdy umieścimy je w perspektywie celu, do którego zmierzamy. Konferencja w tym miesiącu dotyczy nadziei św. Pawła: eschatologii. Chcemy zobaczyć „rzeczy ostateczne” nie jako przerażający koniec, ale jako horyzont, który nadaje kierunek każdemu naszemu dzisiejszemu krokowi. Skoro „wierny jest Bóg, który nas uświęca”, to warto postawić sobie pytanie: ku czemu to uświęcenie nas prowadzi i co tak naprawdę czeka nas u celu drogi, którą wspólnie idziemy we wspólnocie?

Konferencja będzie podzielona na trzy części. Wyjdziemy od tego, co faktycznie św. Paweł napisał, a czego nie napisał w swoim Liście albo na co szczególnie zwrócić uwagę. Po drugie, będziemy chcieli pokazać kilka powszechnych modeli łączenia eschatologii z naszym życiem, które niekoniecznie są właściwe. W trzeciej części (dwa podpunkty) chodzi o budzenie nadziei, czyli pokazanie, dlaczego eschatologia może być pięknym i radosnym horyzontem naszego życia.

Niepokój Tesaloniczan i Pawłowa odpowiedź: Co z tymi, którzy zasnęli?

We wspólnocie w Tesalonicach pojawia się bardzo konkretny problem: do Pawła docierają informacje, że wspólnota jest zaniepokojona, ponieważ kiedy był wśród nich, wzbudził w nich głęboką tęsknotę, pragnienie czekania na przyjście Pana. Wydaje się, że Tesaloniczanie byli przekonani, że to dokona się nie tylko niebawem, ale wręcz za ich życia; że cała ta wspólnota doświadczy tego, że Pan powtórnie przychodzi, że doświadczą paruzji, że zostaną porwani w obłoki – a tu okazuje się, że Paweł wyjeżdża, mijają kolejne miesiące, ich bliscy umierają i nic się nie dzieje z tego, czego się spodziewali. Rodzi się pytanie – co z tymi, którzy umarli przed powtórным przyjściem Pana? Czy oni będą mieli trudniejszą sytuację, kiedy Pan powróci? Czy ich zbawienie jest jakoś zagrożone albo czy będzie wyglądało jakoś inaczej? Nam może to wydawać się trochę dziwne. W czym w ogóle jest problem – oni umarli, a Pan nie przyszedł?

Spróbujmy jednak nałożyć sobie pewne kategorie pojęciowe, w których funkcjonują Tesaloniczanie w tamtym czasie. Taką bardzo ważną kategorią, której używa Paweł, jest grecki termin *παρουσία* [*parousía*], od którego mamy nazwę „paruzja”. My go dzisiaj używamy jako terminu stricte teologicznego, który po prostu jednoznacznie oznacza powtórne przyjście Pana. Natomiast dla nich to słowo niosło ze sobą dwa znaczenia. Z jednej strony to był po prostu zwykły termin, określający czyjeś przyjście, związane z jego obecnością. Jest kilka takich miejsc w pismach Pawłowych, kiedy ich autor, mówiąc o swoim przyjściu do jakiejś miejscowości, używa właśnie terminu *parousía*. Jest to zatem zwyczajne określenie sytuacji, w której ktoś dociera do zamierzonego celu i jest tam obecny. Akcent jest postawiony nawet nie tyle na jakąś obietnicę przyjścia kiedyś, co raczej na fakt obecności, że ktoś już przeszedł tę drogę i dotarł do celu.

Ponadto określenie to miało charakter techniczny – oznaczało przyjście kogoś ważnego, jakiegoś dygnitarza, a nawet samego cesarza. Jest mało prawdopodobne, żeby Tesaloniczanie czekali na przyjście cesarza do ich miejscowości, ale mogli oczekiwać jakiegoś ważnego urzędnika czy dowódcy, który w imieniu

cesarza ma nawiedzić ich miejscowość. Było to związane z dwoma rzeczami. Taka ważna postać nie przychodziła tak po prostu, tylko miała swój orszak, który poprzedzał jej przyjście. Po drugie, całe miasto było zgromadzone w okolicach bramy miejskiej, a najważniejsze osoby w mieście wychodziły naprzeciw orszakowi. To był cały rytuał, który towarzyszył takiemu uroczystemu przyjściu. W języku łacińskim terminowi *parousia* odpowiada termin *adventus*. Mamy cały szereg zapisków historycznych, mówiących o przyjściu cesarza. *Adventus domini nostri Augusti* – „adwent pana naszego, Augusta”, czyli jego przyjście do jakiejś miejscowości w triumfalnym orszakowi, gdzie naprzeciw wychodzą najważniejsze osoby w mieście.

Teraz, gdy wiemy, jak ten termin funkcjonuje, możemy domyślić się, w jakiej kosmologii funkcjonują Tesaloniczanie. Cały ten spektakularny obraz obłoków, na których oni będą zanieśieni, nie oznacza nic innego, jak tylko odzwierciedlenie w takich kategoriach językowych i w takich obrazach, które dla nich są czytelne, tego orszaku, w którym przychodzi triumfujący Chrystus. Przychodzi skąd? Przychodzi z nieba, więc schodzi do nich. Więc gdzie oni muszą wyjść naprzeciwko niego? No do góry. Nie mieli samolotu, to mieli obłoki. Spróbujmy wejść w te kategorie językowe, nie przypisując temu niczego więcej jak tylko obrazu, który służy do wyrażenia zarówno oczekiwania na przyjście, jak i wyjście naprzeciw na spotkanie. Niejaki Jan Chryzostom, święty z Konstantynopola z IV w., pisze w ten sposób:

Gdy król wkracza do miasta, dostojnicy wychodzą mu naprzeciw, by go spotkać, podczas gdy skazani pozostają w mieście, czekając na sędziego. Albo gdy przyjeżdża kochający ojciec, jego dzieci i ci, co są godni nazywać się jego dziećmi, są wyprowadzani na rydwanie, aby go pozdrowić i ucałować. Ale ci domownicy, którzy go obrazili, czekają wewnątrz. Jesteśmy wyprowadzeni na rydwanie ojca [to owe obłoki – przyp. K.P.] bo Ojciec przyjął Jezusa w obłokach i będziemy porwani w powietrze na obłoki. Czy widzisz jak wielki to honor? Pozdrawiamy Go, gdy zstępuje i co najszcześniejsze ze wszystkiego, w ten sposób będziemy z Nim na wieki¹.

W całym tym spektakularnym obrazie Paweł chce powiedzieć jedną rzecz – Chrystus Pan przyjdzie, to jest pewne. Kiedy? Niespodzianie, ale na pewno. Sam Paweł jakby mówił: „Nie wiem, nie podam wam dokładnej daty. Dla mnie samego to jest niewiadoma, ale Pan przyjdzie. Czekajcie na Niego, nawet więcej: wyjdźcie Mu na spotkanie”. Po co? Po to, że gdy się z Nim spotkacie, kiedy przyjmiecie Jego obecność, będziecie z Nim żyli na wieki – dodaje Apostoł Narodów. I nie martwcie się, nie smućcie się. Zarówno ci, którzy będą żyjącymi, kiedy Pan przyjdzie, wyjdą Mu na spotkanie, ale także wasi bliscy zmarli wyjdą Mu na spotkanie. Paweł im mówi bardzo wprost – nie smućcie się, jak to czynią ci, którzy nie znają Chrystusa. Miejcie nadzieję, bo skoro Pan zmartwychwstał, to wy również będziecie mieli udział w Jego zmartwychwstaniu i wasi bliscy zmarli również.

Choć my wielokrotnie tłumaczymy to wyrażenie jako „ci, którzy zmarli” – Paweł trzykrotnie w tym fragmencie używa czasownika κοιμάω [*koimao*], czyli „ci, którzy zasnęli”. Od tego słowa pochodzi termin techniczny κοιμητήριον [*koimētērion*], czyli „sypialnia, miejsce snu”, z którego zrobi się łacińskie *coemeterium*, a to już blisko naszego „cmentarza”. Cmentarz to jest po prostu duża sypialnia, gdzie trzeba się przespać, zanim przyjdzie Chrystus Pan, aby nas obudzić ze snu. Nie wiem, czy kiedykolwiek zwróciliście na to uwagę, że termin techniczny na zmartwychwstanie czy wskrzeszenie, jak go tłumaczymy w Biblii, to jest czasownik ἀνάστασις [*anastasis*], który znaczy dosłownie „wstać z pozycji leżącej”. Każdy Grek codziennie o poranku, po nocy ma *anastasis* – po prostu się musi podnieść do pozycji pionowej. Nie chodzi o to, żeby nie widzieć tutaj całej teologii zmartwychwstania. Chodzi o to, że Paweł już w swoim pierwszym, chronologicznie najstarszym liście, bardzo świadomie buduje taką teologię, w której odbiera oścień śmierci, oścień ostateczności, oścień beznadziei, oścień tragedii, przenosząc całą rzeczywistość śmierci do obrazu czegoś, co się kończy, co nie jest definitywne. Czegoś, co jest jakąś krótką chwilą, czasem, z którego możemy być wybudzeni. Zmartwychwstanie jest tym wybudzeniem ze śmierci.

¹ Jan Chryzostom, *Homilae*, PG 62,440.

Ten kontekst egzegetyczny jest ważny, ponieważ wyzwala nas z pułapki zbyt dosłownego czytania tego tekstu. Żeby zamiast zastanawiać się, kiedy właśnie te trąby wybrzmiały, kiedy pojawią się te obłoki, na których będziemy fruwać, należy zwrócić uwagę na pewne ograniczenia naszego języka i kosmologię, w ramach której Paweł musiał pisać, aby to było zrozumiałe dla Tesaloniczan. Większość biblistów dzisiaj ma głębokie przeświadczenie, że już sami Tesaloniczanie nie interpretowali tych obrazów w jakichś kategoriach dosłowności, ale jako pewne metafory. Jest taki biblista, Nicholas Thomas Wright, który ładnie o tym opowiada: z eschatologią jest trochę tak, jak z próbą opowiedzenia o kolorach osobie od urodzenia niewidomej. Musisz szukać języka, w którym ta osoba jest w stanie uchwycić jakiegokolwiek zrozumiałe dla siebie kategorie. Mówienie tej osobie nawet na wiele różnych sposobów, że czerwony jest taki czerwony i ten jest bardziej czerwony od tamtego czerwonego, nadal tej osobie nic nie mówi, ale ponoć można osobie niewidomej opowiadać o kolorach dźwiękami. Na przykład, że jest kolor, który jest ostrzejszy w dźwięku albo łagodniejszy w dźwięku i w ten sposób osoba niewidoma może budować sobie pewne zrozumienie koloru². Trochę na tym polega ten język metaforyczno-obrazowy w eschatologii. Próbuje się o czymś, co jest wykraczające poza kategorie naszego języka, opowiedzieć naszym językiem. To jest zamiar Pawła, wlać nadzieję w serca Tesaloniczan, że Pan przyjdzie, trzeba na Niego czekać. Przyjdzie niespodzianie, ale można się na to spotkanie przygotować. Paweł mówi Tesaloniczanom bardzo ważną rzecz: dla was to przyjście nie jest czymś przerażającym, owszem, On przyjdzie jak złodziej, albo jak bóle porodowe, niespodzianie – ale dla tych, którzy nie są synami światłości. Dla tych, którzy zasnęli, ale nie snem śmierci, tylko brakiem czuwania albo dla tych, którzy są pijani, czyli pozbawieni tej świadomości oczekiwania na przyjście. Ci, którzy są synami światłości, ci, którzy żyją za dnia – dla nich przyjście Pana jest nadzieiodajne.

Pułapki myślenia o końcu: Między lękiem a utopijną ucieczką

W drugiej części konferencji spróbujemy zobaczyć różne modele, w których my funkcjonujemy w odniesieniu do tego horyzontu eschatologicznego. Wydaje się, że jest kilka takich podstawowych modeli i większość z nich jest błędnych albo jakoś mijających się z tym, o co w gruncie rzeczy chodzi.

Pierwszy model to ten, który w ogóle eschatologię odrzuca. Można byłoby go nazwać przeżywaniem życia w doczesnym horyzoncie. Najbardziej oczywisty jest skrajny materializm, czyli kiedy ktoś uważa, że jak człowiek umiera, to idzie w piach i koniec, nie ma nic więcej. Nie ma żadnej nadziei, nie ma na co czekać. Dewiza życiowa brzmi wtedy: przeżyj życie najlepiej jak potrafisz tu na ziemi, bo nic więcej na ciebie nie czeka. Ewentualnie jest to zachęta do hedonistycznego życia: żyj, baw się, używaj, bo i tak nie będzie żadnych konsekwencji. Wydaje mi się jednak, że jest też znacznie subtelniejsza wersja tego case'a, która dotyczy także ludzi deklarujących się jako głęboko wierzący, którzy tak naprawdę relację z Chrystusem sprowadzają do szukania gwarantu bezpieczeństwa swojego życia albo ewentualnie podniesienia poziomu swojego życia doczesnego. Szukania gwarantu, czyli jakiegoś zabezpieczenia, że to życie będzie dobre, szczęśliwe, że nic trudnego mnie nie spotka albo że relacja z Chrystusem podniesie poziom mojego dobrobytu. Zazwyczaj te osoby przeżywają różnego rodzaju głębokie frustracje w swojej wierze, dlatego że okazuje się, że Chrystus Pan niekoniecznie wchodzi w taką rolę i niekoniecznie odnajduje się w takim obrazie. Nie chcę powiedzieć, że wiara w Chrystusa nie zmienia naszej doczesności i że faktycznie nie jest też, szeroko to rozumiejąc, podniesieniem poziomu naszego życia doczesnego. Jasne, że tak, ale nie tylko i nie przede wszystkim. Można być mocno sfrustrowanym takimi oczekiwaniami, których Chrystus Pan nie wypełnia.

Drugi model, o którym pisze Paweł w Drugim Liście do Tesaloniczan, to ludzie, którzy sprowadzają życie tylko do eschatologii. Tesaloniczanie w pewnym momencie mówią: skoro Pan przyjdzie niebawem, nie pracujemy (por. 2 Tes 3,10-11). Po co trudzić się, pracować, jeżeli to będzie już, już niebawem, za moment. Ja, szczerze mówiąc, w gronie swoich znajomych nie kojarzę nikogo, kto porzuciłby życie

² Por. N.T. Wright, *Paul for Everyone: Galatians and Thessalonians*, Louisville 2002, s. 123.

zawodowe i przestał wypełniać codzienne obowiązki, dlatego że jutro jest paruzja, ale może jest ktoś, kto w takiej perspektywie funkcjonuje. Bardziej chodzi mi jednak o postawę przenoszenia życia na drugą stronę. Tak przerzucam ciężar życia na to życie po śmierci, że aż lekceważę moją doczesność. Uważam, że między jednym a drugim nie ma żadnego styku, że życie jest tylko tam po drugiej stronie, a tutaj nie ma większego znaczenia. Paweł mówi: kto nie chce pracować, niech też nie je (2 Tes 3,10). Przypomina mi się taki króciutki tekst zatytułowany „Krótka droga do doskonałości” św. Johna Henry'ego Newmana, w którym daje on mniej więcej taką radę: Doskonałość w życiu chrześcijańskim zaczyna się od właściwej godziny położenia się spać i właściwej godziny wstania rano, i zrobienia wszystkiego, co do ciebie należy między tymi godzinami³. Summa summarum właśnie na tym ma polegać życie chrześcijańskie – zrób wszystko, co do ciebie należy. Nie przenoś, nie projektuj wszystkiego na eschatologię.

Trzeci model, znacznie częstszy i znacznie bardziej popularny, to jest naiwna eschatologia uzupełniania braków swojego życia. Na czym to polega? Tutaj – padół łez. Tam – szczęśliwe życie. Mamy wtedy taką nadzieję, że po tym przegranym, nieszczęśliwym i zmarnowanym życiu na ziemi, tam doświadczymy radości i spełnienia. Tutaj totalnie mi nie wyszło małżeństwo, jest jakiś dramat tej relacji, ale tam się wszystko zmieni. Tutaj moje życie naznaczone samym umartwieniem i trudami, tam będzie radość. To jest właśnie takie absolutne wyprojektowanie, przeniesienie jakiejś wizji – utopijnej wizji szczęścia – na nieokreślony czas. Tak naprawdę to jest psychologiczny mechanizm uczynienia znośniejszym trudów tego życia, w takiej nadziei utopijnej, że kiedyś w przyszłości będzie lepiej.

Czwarty model, który nazwałem sobie futurystyką, to jest taki model zainteresowania eschatologią, który jest oparty na ciekawości, wyczekiwaniu, kiedy to nastąpi, jak to będzie wyglądało, interpretowaniu tych wszystkich możliwych znaków. Ileż my mamy dzisiaj w Kościele tego. Można posłuchać sobie na YouTube, gdzie znajdziecie nieskończone tysiące godzin prorocत्व, objawień prywatnych. Interpretowania, dlaczego już teraz możemy znaleźć wszystkie znaki apokalipsy, które zapowiedział Chrystus Pan w Ewangelii, jak i te, które Paweł dołożył w swoich listach. Interpretowania rzeczywistości społecznej i politycznej, doszukiwania się tych znaków. Ileż w historii było już tych dat końca świata, które przesuwamy i przesuwamy – a go nadal nie ma. Można naprawdę się „zajawić” na tym punkcie. Ja nieustannie dostaję takie niezdrowe łańcuszki modlitewne, „Chrystus Pan przyjdzie niebawem, jeżeli nie odmówisz dzisiaj tej modlitwy – to apokalipsa”.

Piąty model jest bardzo ściśle związany z czwartym – to eschatologia lękowa. Można przeżywać całe życie chrześcijańskie, całą moralność w przeświadczeniu czyhającego na mnie potępienia ze strony Boga na końcu czasów. Mamy całą historię budowania moralności przez straszenie piekłem, którego obrazy czasami dochodziły wręcz do jakichś perwersyjnych form i rozmiarów. To jest dla mnie zadziwiające, z jaką skrupulatnością i precyzją można wymyślać wszelkiego rodzaju możliwe kary cielesne jako odzwierciedlenie kar duchowych, którymi ma być piekło. To właśnie jest też związane z tą apokalipsą, która ma nastąpić, z tymi znakami, katastrofami kosmicznymi, na niebie i ziemi, które temu będą towarzyszyć. Bardzo często ta eschatologia lękowa budzi różnego rodzaju religijność magiczną, próby zabezpieczania się rytuałami przed tym wszystkim, co zagraża. To już nie tylko łańcuszki modlitewne, ale – namaścisz się świętym olejem, bo to on zabezpiecza, naznacza tych, których apokalipsa ominie. Był taki moment, nie tak dawno temu, że rozlały się prorocтва dotyczące tzw. „trzech dni ciemności”, że właśnie nastanie wielka, nieprzenikniona ciemność na ziemi, ale jak zostaniesz namaszczony świętym olejem, to będziesz w świetle. Ja troszeczkę oczywiście wyszydzam to (choć jest to warte wyszydzenia), ale też przejaskrawiam, aby wymusić na nas kluczowe pytanie, bo o to chodzi w tych wszystkich modelach. Warto zapytać siebie, czy jakoś nie odnajduję się w eschatologii lękowej, czy nie łapię się na tym, że mam tego rodzaju zainteresowania, czy moja modlitwa gdzieś nie skręca w tę stronę?

³ Por. J.H. Newman, *Rozmyślenia i modlitwy*, Warszawa 1985, s. 303-304.

Ostatni z tych modeli, o którym chciałem powiedzieć, to jest eschatologia bajkowo dziecięca. Nie jest już taka łatwa do zidentyfikowania, ponieważ korzysta z całego szeregu obrazów biblijnych. Wydaje się być czymś bardzo biblijnym, dlatego też nośnym do tego, żeby w tej kategorii funkcjonować – ale równocześnie te obrazy są przeżywane na poziomie dziecięcym. Czyli nie jako tylko obrazy, a jako utożsamianie ich z rzeczywistością. To jest to całe budowanie eschatologii jako kreowanie idealnego świata, różowego dla dziewczynek, niebieskiego dla chłopców, w którym wszystko będzie idealne, wszystko będzie właśnie takie lukrowo-cukierkowe. Mamy wtedy przeświadczenie o niebie jako o miejscu bajkowej szczęśliwości, a o piekle, jako miejscu potępienia z wszystkimi możliwymi karami. Kiedy przychodzi do jakiejś naprawdę poważnej rozmowy z człowiekiem, który przeżywa swoją wiarę na poziomie racjonalnym, sami czujemy groteskowość tych obrazów i widzimy, że one są nieadekwatne do tego, żeby w ogóle komuś tłumaczyć, czym naprawdę jest eschatologia. Równocześnie brakuje nam aparatu pojęciowego, żeby z tych obrazów wyjść. Pytanie, na ile dla kogoś egzystencjalnie nośne są wyobrażenia, że jest tłustą owieczką na zielonej trawce, która wyleguje się przy potoku, który rwąco płynie i daje mu orzeźwienie. Rzecz jest w tym, że obraz jest obrazem. Z obrazu trzeba wyciągnąć treść, która się za tym obrazem kryje, a nie sam obraz. Czujemy jednak, że odrzucając te obrazy, pozostajemy jakoś nadzy wobec tego, czym rzeczywistość eschatologiczna jest. Jakbyśmy tak uczciwie się przyznali do tego, jakie obrazy nieba sobie stworzyliśmy, to może się okazać, że one są bardzo podobne do tych obrazów, które na przykład tworzą wyznawcy islamu. Jesteśmy na tyle przyzwoitymi katolikami, że nie ma może tam „haremu” pełnego półnagich hurys, ale może jest leżaczek, plaża i prosecco bądź dobry stek i zimne piwo. Kto wie? I ten obraz jest wymalowany w naszej głowie, jest jakąś wizją szczęśliwości. Ale też uczciwie mówiąc, jeżeli ja o czymkolwiek, co naprawdę lubię, co mi sprawia przyjemność, pomyślę w kategoriach nieskończoności, to jest to dla mnie obraz iście przerażający. Pomyślcie, na przykład, o nieskończeniu długo trwającej uczcie, gdzie cały czas trzeba jeść. Co roku po dwóch dniach świat mamy absolutnie dość, a co dopiero pomyśleć o nieskończeniu długo trwającej uczcie. Ten rodzaj budowania eschatologii na podstawie obrazów, które stają się realistyczną treścią, mającą wypełnić nasze tęsknoty i oczekiwania, jest zupełnie pomyłony i warto sobie te obrazy jakoś dyskredytować. Wpierw jednak trzeba uczciwie na modlitwie zapytać się samego siebie o to, jakim w ogóle obrazami przyszłej rzeczywistości się posługuję? Jakich obrazów używam, kiedy o tym świecie mówię, jakie obrazy mam w swojej wyobraźni, jak o nim myślę?

Eucharystyczna interpretacja eschatologii

Czym zatem jest nasza nadzieja? Spróbujmy zbudować ten obraz rzeczywistości eschatologicznej jako „nadziejodajny” i taki, który faktycznie może być wyznacznikiem pewnego horyzontu, pewnego celu życia każdego z nas. Ważne jest, żeby ani nie zdyskredytować wartości życia doczesnego, ani nie stworzyć utopijnej wizji całkowicie oderwanej od tego, co ja przeżywam tu i teraz. Te dwie rzeczywistości – a tak naprawdę jedna rzeczywistość – są ze sobą harmonijnie powiązane.

W teologii mówimy o tej rzeczywistości eschatologicznej i jej związku z doczesnością, posługując się kategorią „już i jeszcze nie”. Oznacza to, że już żyjemy w rzeczywistości eschatologicznej, ale jeszcze ona nie wypełniła się całkowicie. To napięcie jest ukazywane w różnych formach, nawet w takiej siatce pojęciowej, której używamy w wyrażeniach *adventus* czy *parousía*, które znaczą „przyjście”, „przychodzenie”, ale też „obecność”. Ktoś jest w trakcie przychodzenia, ale jeszcze nie jest całkowicie obecny, dopiero przychodzi. Czy też to aramejskie zawołanie, którego używali pierwsi chrześcijanie, *marana tha*. Tak naprawdę nie wiemy, jak dokładnie to wymówić, bo w manuskryptach, kiedy było to zapisywane w języku aramejskim, w którym nie ma zapisywanych samogłosek, są zapisywane tylko spółgłoski, i nie ma spacji – zostały one wprowadzone znacznie później. W trakcie czytania trzeba podjąć decyzję, gdzie należy umieścić które samogłoski, żeby zlokalizować słowo, i gdzie należy zrobić znaki przestankowe i podziałowe między słowami. Więc jeżeli przeczytamy *marana tha*, jak to zwykle robimy, to jest to zawołanie „przyjdź, Panie”, ale jak przeczytamy *maran atha* to znaczy „Pan jest obecny”. Nawet w tym wyrażeniu widać właśnie owe napięcie między Jego obecnością i czekaniem na Jego przyjście.

Chrystus Pan zostawił nam Eucharystię jako najważniejszy sakrament, w którym tak naprawdę jest streszczona cała ta eschatologiczna treść i to napięcie. Z jednej strony doświadczamy w Eucharystii tego, że Chrystus Pan przychodzi, żeby podarować nam swoją obecność i wypełnić nas sobą, a z drugiej strony chociażby zaraz po słowach konsekracji wołamy w akłamacji, „oczekujemy Twego przyjścia”. Jak oczekujemy Twego przyjścia, jeżeli właśnie jesteś tu obecny? Gdy właśnie do nas przyszedłeś? Tu widać to napięcie. Święty Tomasz z Akwinu w jednej ze swoich antyfon, którą skomponował dla oficjum Bożego Ciała, nazwał Eucharystię wyrażeniem *pignus futurae gloriae*, co najczęściej na język polski tłumaczymy jako „zadatek przyszłej chwały” czy „zadatek życia wiecznego”.

Mateusz Przanowski OP, zajął się tym tematem, pokazując, dlaczego Tomasz, mówiąc o Eucharystii, użył właśnie tego słowa. Tomasz znał się na łacinie, więc nie jest to przypadek, zaś polskie tłumaczenie „zadatek” nie jest tym, co chciał tak naprawdę powiedzieć. Dlaczego? Zadatek to jest jakaś częśćka całości, która kiedyś zostanie zrealizowana. Kupujesz towar, który jest warty 1000 zł i w ramach zadatku na realizację tej usługi płacisz 200 zł, a potem będziesz musiał dopłacić 800, żeby wypełnić tę kwotę. W ten sposób, myśląc o Eucharystii jako zadatku przyszłej chwały, mamy takie wyobrażenia, że my tak troszkę mamy taki przedsmak, tak troszkę smakujemy tego życia wiecznego, żeby w nas wzbudziło nadzieję, że kiedyś to będzie, ale to jest tylko takie „przedsmakowanie”. Tomasz jednak wiedział, że jest w języku łacińskim takie słowo *arrha*, które znaczy „zadatek”, i używa go w innych miejscach. Zna to słowo, a używa w tym wypadku *pignus* i to również jest termin ze świata ekonomicznego, ale oznaczający zastaw.

Pomyślmy o Eucharystii jako „zastawie przyszłej chwały”, „zastawie życia wiecznego”. Zastaw jest gwarantem wypełnienia pewnej umowy, pewnego kontraktu i w tym wypadku to Bóg jest tą stroną tego kontraktu, która złożyła obietnicę i daje nam gwarancję wypełnienia tej obietnicy. A obietnicę złożył prostą: „Kto spożywa Moje Ciała i pije Moją Krew, ten ma życie wieczne i Ja go wskreszę w dniu ostatecznym”. Zastaw musi odpowiadać wartością temu, co jest zastawiane. Zatem, co do wartości, Eucharystia nie jest częścią tego, czym jest niebo, tylko jest wartością samego nieba. Aczkolwiek trudniejszą do rozpoznania ze względu na to, że ukrytą pod postacią znaku. Tymczasem treścią Eucharystii jest sam Chrystus Pan, który nam się podarowuje pod postacią znaku chleba i wina, dlatego możemy mieć czasami trudność w rozpoznaniu wartości, która zostaje zastawiona. Jest to jednak wartość samego Boga, który się nam podarowuje w Eucharystii. Równocześnie z zastawem jest tak, że kiedy obietnica zostanie spełniona, to zastaw trzeba oddać. Uczy nas to szacunku do Eucharystii, która nie jest naszą własnością i którą mamy sprawować tak, jak uczy nas Chrystus Pan, bo trzeba Mu w nienaruszony sposób tę własność oddać. Uczy nas to tego, że kiedy zostanie zrealizowana obietnica, to nie będzie potrzeba już zastawu, dlatego też zostanie zwrócony. W eschatologii, w rzeczywistości Królestwa Niebieskiego nie będziemy potrzebowali sakramentów, tam będzie już sama Obecność Boga, którą przyjmujemy całym sobą. Warto pomyśleć o Eucharystii jako tym darze od Chrystusa, który uczy nas, przygotowuje na rzeczywistość Królestwa Niebieskiego, ale równocześnie na doświadczanie tego daru, już w tej rzeczywistości, która przecież przenika całkowicie naszą doczesność, nasze życie. Dlatego Eucharystia jest tak ważna w kształtowaniu życia duchowego.

Pełnia życia: spotkanie, które nie niszczy

To Eucharystia jest przyjmowaniem obecności Boga. Cały nasz rozwój życia duchowego nie jest niczym innym, jak wytwarzaniem w sobie zdolności przyjmowania Bożej obecności, uczeniem się przyjmowania Bożej obecności całym sobą, całą swoją naturą, wszystkim tym, kim jestem, według tego, jak mnie stworzył Bóg. Możemy użyć obrazu, że jesteśmy prochem, który może czynić krok naprzód, może się rozwijać i ostatecznie stać się naczyniem. Owszem, glinianym, ale naczyniem, które przyjmie Bożą obecność. Boga, który pragnie wypełnić to naczynie po same brzegi. Dlatego tak ściśle eschatologia jest związana z życiem doczesnym. To jest proces, który znajduje swoje spełnienie. To nie jest radykalne zerwanie czy coś tak innego, że nie ma nic wspólnego z moim życiem doczesnym. To jest dopełnienie czy maksymalne wypełnienie tego, co ja już tu realizuję. Ale doskonale czujemy i widzimy, jak mozolnie ów proch

przesuwa się naprzód. Możemy też użyć metafory naszego życia jako wykuwania pomnika z marmuru. Jesteśmy w tym procesie wykuwania własnej osoby, stawania się coraz bardziej sobą, osiągnięcia tego poziomu pełni samego siebie. Myślę jednak, że intuicyjnie czujemy, że tego się nie da zrobić tu i teraz. Potrzebujemy mieć nadzieję na to, że w pewnym momencie Boski Artysta sam weźmie dłuto i poprawi to wszystko, co jest moją niedoróbką, czego ja nie potrafiłem z całą precyzją, detalicznie wykuć. I to nazywamy, klasycznym językiem teologicznym, czyścem. Oczyszczeniem, w którym sam Bóg będzie mnie przygotowywał, żebym był w stanie przyjąć Jego samego. Można używać jeszcze innych obrazów dla czyśca, chociażby obrazu tęsknoty. Czym jest czyścić? Jest tęsknotą za Bogiem, którego już poznaję, którego kocham i znam Jego miłość, a równocześnie jeszcze nie jestem Nim w pełni wypełniony. Dlatego owa tęsknota, ów ból oczekiwania na Tego, którego kocham i który mnie kocha, jest czymś, co mnie kształtuje, co mnie wypala, oczyszcza. Można pomyśleć właśnie o naczyniu, które jest poszerzane. Bóg chce wypełnić każdego z nas według naszej miary Swoją obecnością. Jest takie ładne powiedzenie, które mówi, że w niebie i naparstek, i wiadro będzie wypełnione po brzegi. Rzecz w tym, że nie ma znaczenia, czy ja będę naparstkem czy wiadrem. Klucz w tym, że będę pełny Bożej obecności. Nie musimy być o to zazdrośni, nie musimy ze sobą rywalizować, nie musimy się porównywać. Każdy z nas będzie wypełniony na swoją miarę. I dlatego to naczynie może być też poszerzane, żeby przyjąć więcej miłości.

Wiedząc, że tym, co nam pomaga w czyścu, w procesie oczyszczenia, jest wstawienictwo i modlitwa moich braci i siostr, odpusty, ofiary mszy świętej, która jest sprawowana w intencji zmarłych, możemy pomyśleć sobie o czyścu jako o zakładzie rehabilitacyjnym. Tam, gdzie nasze ciało i nasza dusza nie osiągnęła jeszcze pełnej sprawności w kochaniu i czynieniu dobra, potrzebujemy się wyćwiczyć. Potrzebujemy właśnie nabrać owej większej sprawności. A tam, gdzie rehabilitacja, tam są potrzebni rehabilitanci. Naszym zadaniem, Kościoła żyjącego, jest bycie takimi rehabilitantami dla naszych siostr i braci, samemu wierząc, że kiedyś także znajdziemy owych rehabilitantów, którzy pomogą nam w tych ćwiczeniach swoją miłością i dobrocią.

Boecjusz, filozof, definiował wieczność w taki sposób, że jest to jednoczesne posiadanie całej pełni życia. Jeżeli miałbym szukać jakiegokolwiek obrazu w tych wszystkich biblijnych metaforach, którymi się posługujemy, to nie tyle koncentrowałbym się na nieskończeniu długim trwaniu tych rzeczywistości, co raczej na intensywności czy jakości życia. Pojęcie wieczności więcej mówi o jakości niż o długości. Wieczność zresztą jest czymś, co nie jest czasem. Zatem jednoczesne posiadanie całej pełni życia. Na razie przeżywamy nasze życie fragmentarycznie. Ono jest właśnie taką mozaiką ulepioną z tysiąca różnych kawałeczków i wszystkie momenty szczęścia, spełnienia, dobra, miłości, których doświadczamy, są właśnie momentami, są takimi małymi kawałeczkami, które jakoś lepią ten obraz. Spróbujmy jednak pomyśleć o wszystkich tych momentach przeżywanych naraz w jednej chwili, teraz, nierozłożonych w czasie po trochu. To jest życie pełnią życia, życie spełnione. A dlaczego? Bo będziemy to życie przeżywać w zjednoczeniu z Tym, który nas całym sobą wypełni. Zatem, przygotowując się do tego życia, uczymy się już tutaj przyjmować siebie, żeby móc przyjąć Bożą obecność całym sobą.

Życie wieczne nie jest niczym innym, jak przyjęciem Bożej obecności całą naszą naturą. Uczymy się już tutaj poznawać Boga takim, jakim jest, bo życie wieczne nie jest niczym innym, jak poznaniem Ojca, którego nam objawił Chrystus Pan. Uczymy się już tutaj kochać, bo życie wieczne nie jest niczym innym jak rzeczywistością miłości, jak uczestnictwem w miłości trynitarniej Ojca, Syna i Ducha, i miłości między braćmi i siostrami, którzy żyją w Bogu. Gdy nauczysz się przyjmować siebie samego, to według tych miar będziesz też umiał przyjmować braci i siostry. Bo życie wieczne jest nie do pomyślenia w oderwaniu od całego wymiaru ciała, którym jest Kościół. Zmartwychwstanie ciała nie ma dotyczyć tylko mojego ciała, ale także tego ciała, którym jest Kościół. Rzeczywistość Królestwa Niebieskiego jest rzeczywistością relacji nie tylko z Bogiem, ale w Nim z braćmi i siostrami. Dlatego jest rzeczywistością, w której musi się dokonać oczyszczenie, polegające na pojednaniu, na wybaczeniu wszystkim, którzy mnie skrzywdzili, na uleczeniu tych ran, na przeproszeniu tych wszystkich, których ja skrzywdziłem. Stąd też

w eschatologii chrześcijańskiej mówimy o dwóch sądach. O sądzie szczegółowym, który dokona się w momencie mojej śmierci, ale też o Sądzie Ostatecznym, w którym po zakończeniu całej historii dopiero będę mógł zobaczyć, jakie są pełne konsekwencje całego dobra, które uczyniłem w całej historii, ale też całego zła. My nie sięgamy nawet wyobraźnią tak daleko, żeby móc zobaczyć, jak bardzo moje czyny zmieniają tę historię i ją kształtują, dlatego potrzebujemy ostatecznego pojednania całej historii – ludzi w tej historii – żeby mogła ta rzeczywistość eschatologiczna zaistnieć. To, co wiemy o użyciu wiecznym, co jest prawdą naszej wiary, którą wyznajemy w każdą niedzielę w credo, „wierzę w ciała zmartwychwstanie”, to że jest to rzeczywistość przeżywana w ciele. Przez „ciało” nie należy tu rozumieć tylko atomów, komórek. Trzeba też myśleć o tym wszystkim, co stanowi naszą cielesność, a więc ową relacyjność, naszą zdolność budowania tożsamości przez wydarzenia, które kształtują naszą historię.

W cielesność jest wpisane wszystko to, z czego życie jest utkane. Także to, co jest słabe, grzeszne, było chore, ale zostało łaską Bożą uzdrowione, zabliznione – także to jest budulcem mojej tożsamości. Łaska Boża nic nie niszczy, nic nie odrzuca, Bóg nie rezygnuje z tego, co powołał do istnienia. Dlatego też nie jesteśmy czystym duchem, ale będziemy właśnie mieli zmartwychwstałe ciała. Chrystus Pan jest pierwszym, który zmartwychwstał, pokazując nam, jak bardzo komplementarne ze sobą jest człowieczeństwo i bóstwo, że mogą one istnieć w pełnej harmonii. Bóg nie musi nic odrzucać, Bóg nie musi nic dewalutować, Bóg nie musi nic niszczyć. Jeżeli zapragnął człowieka jako jedność psychofizyczną, jedność cielesno-duchową, to tak też człowieka będzie wydoskonaliał według tego modelu. To jest dla mnie osobiście jedna z najbardziej zachwycających rzeczy, że nie musimy się obawiać Bożej obecności jako takiej, która tłamsi, przytłacza, niszczy. Trochę tak w historii było, że często człowiek uważał Boga za konkurenta. Jeżeli wpuści Boga w swoją historię, to Bóg zabierze mu coś, co jest jego, że Bóg go jakoś przytłoczy. Metaforycznie było oddawane to obrazem śmierci człowieka – jeśli zobaczyłby Chwałę Bożą, nic by z niego nie zostało. Chrystus Pan swoim wcieleniem i swoim zmartwychwstaniem pokazuje nam, że łaska Boża wydoskonala, uszlachetnia, ale nie tłamsi, nie niszczy, nie zabiera. Możemy przyjąć Boga całą swoją obecnością w taki sposób, że osiągamy spełnienie. Nie, że tracimy coś z siebie samego. Im bardziej Bóg nas wypełnia, tym jesteśmy bardziej sobą.

Zakończenie

Refleksja nad eschatologią w wydaniu św. Pawła nie ma nas odrywać od ziemi, lecz uczyć, jak żyć na niej w pełni, bez lęku przed tym, co nieuniknione. Przechodząc przez kolejne etapy tegorocznej formacji – od analizy przeszłości po dzisiejszą wizję wieczności – widzimy wyraźnie, że Boża łaska nie niszczy naszej ludzkiej natury, ale ją uszlachetnia i dopełnia. Nadzieja, o której pisze Apostoł, jest klamrą spinającą nasze codzienne wysiłki, służbę i dążenie do świętości z obietnicą ostatecznego spełnienia w Bogu. Niech ta wizja Boga, który nie jest „konkurentem” człowieka, ale tym, który nas wydoskonala, towarzyszy nam w kolejnych miesiącach. Pamiętajmy, że każda chwila naszej „drogi”, każda podjęta „służba” i każde „uproszczenie życia” są przygotowaniem na to najważniejsze spotkanie, w którym – jak wierzymy – będziemy już na zawsze z Panem, stając się w pełni sobą dzięki Jego wypełniającej obecności.

Wierny jest Bóg — jeżeli powołał, to też uświęci (zob. 1 Tes 5,24).

opracował ks. Krzysztof Porosło,
korzystając z konferencji swoich, o. Tomasz
Grabowskiego OP i Tomasza Szepieńca, wygłoszonych w lipcu 2025 roku